

Irene Jacob o sobie i Kieślowskim

- Krzysztof mówił: „Życie to nie jest tylko szklanka coca-coli. To jest coś więcej, musi być coś więcej. Najważniejsze, żeby człowiek wiedział, jaki jest jego cel w życiu”. - Tak o pracy z Krzysztofem Kieślowskim opowiadała Irene Jacob, odtwórczyni głównych ról w „Podwójnym życiu Weroniki” (za tę rolę otrzymała Złota Palmę w Cannes) oraz w „Trzy kolory: Czerwony”. W poniedziałek spotkała się w Łodzi ze studentami Szkoły Filmowej, z widzami w kinie Helios. Wystąpiła też podczas koncertu w Off Piotrkowska, gdzie zaśpiewała z towarzyszeniem zespołu jazzowego swojego brata Francisa. Jest gościem PGNiG Transatlantyk Festival.

Irene Jacob debiutowała u Louise Malle'a. Sławę przyniosły jej role w filmach Krzysztofa Kieślowskiego. Wystąpiła też w „Tajemniczym ogrodzie” Agnieszki Holland i filmie wyreżyserowanym przez Sławomira Idziaka „Enak”. W latach 90. zagrała również w „Po tamtej stronie chmur” Michelangelo Antonioniego. Łódź odwiedziła po raz trzeci - wcześniej była tu podczas kręcenia „Podwójnego życia Weroniki” oraz jako gość festiwalu Camerimage.

Podczas spotkania w Szkole Filmowej rozmowę z aktorką prowadził reżyser Marcin Latało, który był tłumaczem i asystentem Kieślowskiego podczas realizacji „Podwójnego życia Weroniki”. Irene była bardzo otwarta i bezpośrednia, żywo gestykulowała i, zrywając się z krzesła, spontanicznie demonstrowała zachowania ludzi, o których opowiadała, albo odgrywała scenki na poparcie swoich słów. Uderzające w jej opowieści było to, jak żywe w jej pamięci jest wspomnienie współpracy z Kieślowskim, jak wielkie wrażenie wywarł na niej polski reżyser.

W „Do zobaczenia, chłopcy” Louisa Malle'a wystąpiła właściwie w jednej scenie. Grała na fortepianie. Film jej się podobał, ale miała wrażenie, że reżyser w ogóle nią nie pokierował. Taki wielki reżyser, a nie dał żadnych wskazówek. Tak naprawdę on to zrobił, tylko Irene tego nie zauważyła. Powiedział: podczas kręcenia piłuj paznokcie, czasami ziewaj i patrz przez okno. „A gdzie psychologia, budowanie roli, którego uczyli nas w szkole aktorskiej” - pomyślała. Jednak te trzy proste wskazówki stworzyły cały urok sceny. Może o to właśnie chodzi. Wiele rzeczy powstawało poprzez to, jak zorganizowana była akcja w scenie, a nie dzięki psychologicznym analizom sytuacji bohaterów.

Krzysztof Kieślowski po obejrzeniu „Do zobaczenia, chłopcy” zaprosił Irene na casting do „Podwójnego życia Weroniki”. Wtedy spotkała Marcina Latała, asystenta i tłumacza reżysera. Nie знаła wcześniejszych filmów Kieślowskiego, ale udało jej się obejrzeć „Krótki film o miłości”. Nigdy dotąd nie myślała, że spotka kiedyś polskiego reżysera. Inną kandydatką do tej roli była Andie MacDowell (Kieślowski poznał ją w Cannes). Dla Irene było czymś niezwykłym, że reżyser na etapie castingu spędził z nią pół dnia w hali zdjęciowej z kamerą i scenografią. Dużo było improwizacji. Jedną z sytuacji była taka, że się budzi, czuje czyjąś obecność i patrzy w kamerę. Krzysztof miał oko jak mikroskop. Zależało mu na szczegółach, na bardzo drobnych gestach jak na przykład przełknięcie śliny. Budował z nich potem swoją narrację. W drodze na kawę poprosił ją, żeby przebiegła przez ulicę. Zaskoczyło ją to. A potem pytał, czy w życiu biegała za czymś, rozpaczliwie w jakimś celu. Pomyślała o autobusie. Zrozumiała to dopiero po zakończeniu zdjęć. Francuski zwiastun do „Podwójnego życia Weroniki” przedstawiał biegącą bohaterkę, a napisy głosiły dlaczego ona biegnie? Skąd ona biegnie? Dokąd biegnie?

Dla Krzysztofa charakterystyczne jest pytanie, które pojawia się w jego filmach, obecne było także w jego pracy ze studentami: „Co jest ważne w życiu? Jaki mamy cel? Życie to nie tylko szklanka coca-coli i nowy samochód, tylko coś innego. Nie wiem, co, ale jest coś innego”. Irene wydaje się, że

Krzysztof właśnie szukał tego czegoś innego. Chciał, żeby „Podwójne życie Weroniki” było filmem, który opowiadałby o przecuciach, wrażeniach, poczuciu, że nie jesteśmy sami. To nie są sprawy, które łatwo sfilnować. Dlatego musimy być bardzo konkretni. Reżyser poprosił Irene, żeby dla każdej z bohaterek zrobiła listę gestów, rzeczy, które robi, kiedy jest sama. Kiedy je zaprezentowała, czasami wzruszał ramionami, a czasem mówił: „ciekawe...” Kiedy Irene jest rozpalona od emocji, przykładła do policzka szklankę z zimną wodą. Dla Krzysztofa to było bardzo znaczące, lubił takie gesty, bo można to było później wykorzystać na ekranie. Weronika denerwuje się przed koncertem, prasuje, robi jej się gorąco, więc podchodzi do okna i dotyka policzkiem szyby i w tym momencie dostrzega na ulicy tajemniczą staruszkę. Do dziś Irene, przygotowując rolę, stara się przypisać konkretne gesty do postaci, którą gra. Chodzi o to, żeby dać wyraz temu, co jest w środku, żeby przez gesty narodziły się uczucia, emocje postaci.

Jeszcze przed zdjęciami do „Podwójnego życia Weroniki” gotowa była muzyka Zbigniewa Preisnera. Od początku była częścią scenariusza. Bardzo ważna w filmach Krzysztofa była rola autora zdjęć – tutaj Sławomira Idziaka. Wtedy po raz pierwszy Irene usłyszała o Szkole Filmowej w Łodzi i o wszystkich genialnych operatorach. Dla Krzysztofa był to taki sam partner jak aktor, który przedstawiał swoje propozycje. Cały czas z Idziakiem kombinowali, gdzie ustawić kamerę, jak filmować. Mieli przy tym dziecięcą frajdę. Na przykład w scenie śmierci Weroniki w filharmonii powiesili kamerę pod sufitem, na długiej linie wykonywała ruch wahadła. Marcin Latało przypomniał, że dokładnie pod kamerą siedział na widowni Kieślowski. Jeśliby spadła, to wprost na niego.

Wszyscy pracowali w atmosferze podniecenia, że próbują coś nowego. W tym filmie było bardzo dużo zbliżeń, a Krzysztof zawsze siedział tuż obok kamery – wciśnięty, powykręcany – i wpatrywał się w twarz aktorki z bardzo bliska. Bardzo dynamicznie, żywo uczestniczył w tym, co się działo przed kamerą. Zawsze chciał, żeby było więcej napięcia. Chciał dotknąć tego, co jest najważniejsze, ale wszystko, co było dosłowne, dopowiedziane, wyrzucał w montażu. Jednocześnie bardzo to przeżywał. Zrobił 15 wersji montażowych „Podwójnego życia Weroniki”. Montowanie to był dla niego ukochany etap pracy nad filmem.

Nigdy nie tłumaczył Irene, co ma myśleć, jako postać. Chciał, żeby ona to zaproponowała. Na końcu filmu bohaterka dotyka drzewa. Co to znaczy? Nigdy nie odpowiadał na takie pytania. Dzięki temu jego kino jest takie, że każdy może sobie podłożyć swój sens, może znaleźć coś dla siebie. Dlatego filmy Kieślowskiego trafiały do ludzi na całym świecie. Na przykład w Japonii widzowie podczas spotkań nigdy nie pytali, dlaczego Weronika kładzie rękę na drzewie. Dla nich to było oczywiste. Tylko dla Amerykanom wydało się zbyt tajemnicze, dlatego poprosili, żeby zmienić zakończenie. Sam Kieślowski nie mógł się zdecydować, jakie ma być zakończenie filmu. Więc nakręcono kilka wersji.

Krzysztof dużo czytał w młodości i zawsze chciał zrobić taki film, który by był jak dobra książka, żeby po jego obejrzeniu człowiek czuł się mniej samotny. Irene wydaje się, że mu się to udało.

Kieślowski na planie robił bardzo mało dubli – najwięcej trzy. Według niego, jeśli za drugim razem nie wyszło lepiej, to dlaczego miałyby się udać lepiej za trzecim. Uważał, że maksymalnie może osiągnąć 30 procent tego, co sobie wymyślił. Jeśli doszedł do tych 30 procent, był szczęśliwy. Wtedy 20-letniej Irene wydawało się, że to bardzo mało, że trzeba walczyć o 100 procent. Teraz to rozumie. Gdy jest w kinie lub w teatrze i znajdzie tam choćby pięć minut, które ją porwą, to już jest super.

Kieślowski od „Dekalogu” do każdego filmu zatrudniał innego operatora. To było dziwne dla Irene. Krzysztof odpowiadał: to tak jakbym kręcił wciąż z tym samym aktorem, a przecież każdy film jest inny. W „Czerwonym” zdjęcia robił Piotr Sobociński. Dostał za nie nominację do Oscara. Pracował

zupełnie inaczej niż Sławomir Idziak. Miał wiele pomysłów dotyczących obrazu już na etapie scenariusza. Kieślowski wpisał go jako współautora.

Sukces dla aktora to jest mieć pracę. Móc wybierać projekty, które najbardziej ci odpowiadają. Porażka dla Irene jest wtedy, gdy siedzisz sam w pokoju i nikt do ciebie nie dzwoni. Trzeba więc kochać ten zawód, bo czasami jest naprawdę ciężko i trzeba mocno walczyć, żeby osiągnąć to, co sobie wymarzyłeś. To jest zwód, który uprawia się w grupie. Trzeba więc tworzyć grupę przyjaciół, rodzinę, w której będziemy się wspierać wzajemnie. Coś wspólnie robić, nawet coś skromnego.

Zawsze lubiła muzykę i uczestniczyła w wielu projektach z muzyką klasyczną i współczesną. Brat Irene, Francis, wyjechał do Nowego Jorku 20 lat temu. Jest jazzmanem. Zajmował się muzyką południowoamerykańską, zwłaszcza brazylijską. Siedem lat temu wpadli na pomysł, żeby zrobić coś wspólnie. Jest to skład akustyczny bez bębnów tylko z instrumentami perkusyjnymi.